JÓZEF STREICHER

PANORAMA

POEZJE

WARSZAWA
MCMXXVIII

PANORAMA

JÓZEF STREICHER

PANORAMA

POEZJE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
WARSZAWA, PL. TRZECH KRZYŻY 8.
1 9 2 8.

Druk: Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Ś-go Rocha 3.

PANORAMA

Łamią się krwi kryształy w płonącej żarem głowie,
Linjami rąk czarnemi kreślę szaloną powieść.

Niebieską wstęgą wzruszeń wirują nieme żyłki,
Pląsają oczy cicho w zagadek morzu dzikiem.

Barwnie się mieniąc, tłumią pragnień fiołkowych wrzaski,
W puszystym śmiechu toną jak w słońcu szare paski.

Powstają domy przygód w nerwów wichurze tworzone,
Pocięte kwadratowo, ubrane w kolor wrony.

Jak piłki lecą miasta w kamienną nieskończoność,
Odpływa dzień jak morze, w którem można utonąć.

Niebo jest równiną błękitną, po której stąpać łatwo,
Ale ziemia jest czarną. To panorama krwawa.

JA I ZIEMIA

JA i ZIEMIA

Czerwone słońce lata marzy purpurowo
O policzkach ulic, wyczyszczonych gładko.
Jak dobrze huśtać wiatr płonącą jasno głową!
I pocałunkiem maić wargi czarniutkim bratkom.

Płucami, drgającemi sopranem śmiałych natchnień,
Nurzać się we krwi pieśni, jak w śmigach czarny motor,
I drzew zielonych skórę głaskać delikatnie,
Słyszeć, jak ciszę kwiatów malutki motyl podarł.

Jak dobrze się wykąpać z ran okrutnej śmierci
W stawie płynących przeżyć, szumiących godzin ranka,
Wyzbyć się łez i żalu i snów o mdłej nicości,
Wedrzeć sie w bramę życia, gdzie jasna śni kochanka.

Purpurą się nakarmić, wonią nabrzmiałej ziemi,
Na rzęsach liści nizać zdarzeń płonących znaki.
O Ziemio! Zrób zamianę! Daj mi twój pęd i drżenie!
A ja ci dam mych pieśni rozfurgotany wiatrak.

WIEŚ

Linje srebrzyste stawu łamią się senne ospale,
Gdy rano głową słońca kłania się złotym kłosom.
Idziemy potem do lasu; będziemy poziomki zbierali,
Wsłuchani w cichą modlitwę, którą nam las osnuł.

Drzewa pachnące zielenią, drzewa zielenią najadłe,
Słońcem oblane we włosach podadzą cieniste kolana.
Będą się pod nie pastuszki zmęczone upałem kładły,
Gryząc w czerwonych ustach smak świeżego siana.

Na polach złotem pachnących, na polach złotem sycących
Smugą czerni obwinie ryk przestraszonej krowy.
Weźmie w tętniące ramiona, w ramiona opilstwem tętniące
Szum zahukanej trawy, powieści gorąca opowie.

Nagle w upalnej ciszy, spadając obrotem i kłując,
Groźbą ramion i palców zadzwoni błyszcząca kosa,
Wgryzie się w kłosy, w kłosy—czerwienią zawiruje,
Zadziwi, oczy zasmuci, krwią zapalając niebiosa.

LATO

Jeden promyk jest słodszy, niżli pełne słońce.
Jak linja się wypręża, szeleści i głaska.
Ma nerw rozkosznej siły, jak kochanka śpiąca,
O północy zbudzona cicho i znienacka.

Gdy do pokoju wejdzie lęka się i wstydzi
Włosów nagiej nogi i czerwieni stopy.
Od ścian, ubranych w kwiaty, srebrna cisza idzie
I smukłość, blada smukłość roześmianych topól.

Wspomnienia napływają, musują jak wino.
W kwadratach marzeń toną ulic brudnych bruki.
Jak blade zda się wówczas i teatr i kino,
Gdy na dachach się gromadzą kominów pagórki.

Jedna chwila jest smukła i złota jak Paktol.
Zamyślenie jest głuche, jak stojąca woda.
O! Gdyby móc tak umrzeć i wrócić jak lato
I mienić się: to deszczem, to złotą pogodą.

PRZECHADZKA

Słońce całuje z rozkoszą ulic kamienną twarz,
Gdy dzieci ponurych kamienic tęsknią za młodym wiatrem.
Tragarze wdziewają na barki złotych promieni płaszcz
I tulą do murów gorących kości zmęczone, umarłe.

Aut namiętny szept rozdziera serce jak okrzyk,
Płonące kroki przechodniów barwią zachwyty południa.
Ja idę do przyjaciela, który marzy o zorzy
I mieszka w starym domu, gdzie jeszcze na podwórzu jest
[studnia.

Miasto pulsuje jak krew. Już błyszczą oczy wystaw,
Zapachy idą w dal z jaskrawych ust kwieciarni.
Obłoki rumienią się wciąż. Są zawsze rudo-ogniste,
Mają umarłą barwę moich zagasłych męczarni.

Teraz dopiero wiem, co znaczą gesty tramwaju,
Gdy jak rudy kot przebiega przez sieci uliczek.
Dzisiaj jest 6 dzień kwietnia. Ja lubię w ciche noce
[w maju
Patrzeć, jak księżyc się słania i boi się i szuka własnego
(oblicza.

WIECZÓR

Fiolet się mieni w ustach w melancholijnych pląsach,
Wysmukłych panien cienie jak bajka głaszczą wieczór.
Na bal dziś poszedł smutek z tancerką nagą, bosą,
Malutkie jej usteczka pieszczotą dziką pieką.

W takcie rozkosznym rana nogi pijane, szybkie,
Ulice karmią śpiewem prężności i rozpędu.
Marzenia tańczą w głowie, jak w stawie złote rybki,
Przez okna złotem syte patrzą zielone grzędy.

Są dnie i już ich niema i noce są przejrzyste.
Z gwiazdeczką popod ramię przechodzi strojny księżyc.
Pragnienia są jak lica rumiane i czyste,
Jak auta po ulicach kapryśne myśli pędzą.

Welonem uczuć nagłych pasemka chwil pokryte
Rozpłyną się wieczorem, rozlecą jak rój mrówek.
Czerwona noc obejmie skurczonych żalów płyty,
W tętniących skrzypcach tłukąc spopielały smutek.

WSPOMNIENIE

Lampjony drą powietrze w ogrodach wieczorem,
Dziewczęta pachną dalą, jak zwiewne obłoki.
Tajemniczemi znakami mówią drzew poczerniałych kory,
Kreśląc na ziemi przycichłej cieni głębokie uroki.

W tańczących linjach przyjdzie noc słodka i zagra
O przemian nieznanych rozkoszy, o smutku dziwnego
[księżyca.
Zamglone koła wieczności gwiazda srebrzysta potarga
I chwili słodycz jak uśmiech znużone oczy zachwyci.

Jak blisko leży szczęście, można je ująć rękoma.
Ziemia się cieszy jak dziewczynka, gdy nową dostanie
[sukienkę.
Ze wspomnień z lękiem opada ciężko czerwona zasłona,
Obrazy biegną zmieszane ze snów do oczu, do ręki.

Powietrze drga jak struna. Dalekie słyszę tony.
Jedna opowieść z lat młodych powraca jak ból.
To Twoje widzę uśmiechy, lekkie uśmiechy, ukłony,
Co znowu dziś pachną świeżo jak zboże z pól.

WCZORAJ

LINJA

Szeleści w mózgu rosa czerwonych wyobrażeń,
I kreski drobne tworzy w płonącem wzgórzu marzeń.

Wpadają na się kreski, zginając pstre kolana,
Problemem swej istności przestrzeni klnąc tyrana.

Kreska—chwila
Kreska—chwila
O kresko!

Weżryj się w piersi gibkie i skacz i tańcz pijana!
Zachwytu wznieś ramiona i cudu stul kolana!

Swe usta maluteńkie wypędź z zanadrza ciszy!
Modlitwa ruchu, pędu do szału zakołysze.

Wbiegniemy oszaleli, radości plując śliną,
Wpatrzeni, wpatrzeni w—linję.

BAL

Krzyczał tłum oszalały i opuchł,
Gdy gwiazdy oświeciły zsiniałe wargi.
Pod niebem w kształcie ogromnych kopuł,
Wiatr ramionami drzew targał.

Po ulicach błądziły różowe dziewczęta,
Głaskały piersi swe białe i śpiewały zcicha;
Gdy wonny zapach ciała miasto opętał,
Tłum z rozkoszy zawył i wzdychał.

Ramionami radości otoczył różowe ciała,
Podnosił się i opadał i milczał jak gwiazdy.
W wieczornej ciszy z beczki nieba złoto się rozlało
I słodko pachniały ulice od złotej omasty.

BALLADA

Tulą się do siebie jak kochankowie.
Pierś biała do piersi, która zna tylko rozpacz.

Fioletowe domy rozkoszy płoną w twej głowie,
Z lęku w żadnym z nich nie mógłbym zostać.

Byłabyś gwiazdą, gdybyś umiała patrzeć z wysoka,
Ale ty jesteś linją, która się kocha w dali.

Rano złocą się liście. Wieczorem ginę z żalu.
Szukam przygód. Chcę o wszystkiem zapomnieć.

WCZORAJ

Wczoraj jest jak pokoik,
W którym bawiłem się z dziećmi.
Jak ścięte złote loki,
Za któremi płakałem w salonie fryzjera.
O pasemka wspomnień dziecinnych!
Pasemka ze złota i srebra!
Tęsknoto niedorzeczna!

Wczoraj leży w zeszycie starych, żarliwych wierszy.
Marylka je w klasie pod ławką czytała.
Tak. Wczoraj.
Wczoraj jeszcze myślałem,
Że umiem tak kochać jak Chrystus.

NIEPOKÓJ

Ulica kotłowała jak morze w lamp czerwonych kleszczach,
Oczy niepokoju wbiłem w ciemną przestrzeń.

W czerwieni nurzało się niebo i drżało.
Przechodnie stanęli. Zapatrzyli się w dal.

Księżyc krzyczał z wściekłości i był siny, jak palec zmarz-
[nięty.
I ktoś płakał.

* * *

Obracają się czarne dni,
Obracają się czarne noce,
O kiedy wreszcie zakrzyczysz?
Płonący!

Nikt do mnie nie przychodzi,
Nikt nie powie mi słowa.
Tylko się kręcą, kręcą
Czarne, okrutne koła.

PROTUBERANCJE

1920—1922

CONRAD

W New-Yorku na ulicy spotkał nieznajomą,
Ukłonił się i patrzył, zanurzył się w wzroku —
Po nocach wciąż coś śledził, jak szpieg, pokryjomu
I milczał wśród kamienic i milczał wśród mroku.

Powoli się przechadzał, pod murem przystanął —
Noc była śliska, zimna, bez gwiazd, bez okrycia,
Obłoków się zapytał i ręce załamał,
I słyszał bicie serca — w sercu morza bicie.

Do domu wrócił pijany wściekłym żarem morza,
Tańczyły w czaszce srebrne, szalone okręty.
Dał słowo twarde morzu, co wichr je opętał,
Moc stali nadał nocom, gorącym jak pożar.

WYBUCH

Zapukałeś! W obłąkaniu rozchyliły się Twe palce,
Jak groźby rąk wzniesionych biły strugi łez.
O potworny kolosie męki! W tytanicznej walce
Rozbije Cię groźny, oślizgłej namiętności gest.

Gdy w wieczór księżycowy roziskrzą się place,
Pijane szczerozłotą strugą wściekłych gwiazd,
Wszystkie czarne krosty chwil minionych spłacę
Krzykiem, co obudzi śpiące serca miast.

Rozpalonem wówczas obliczem, tętniącem krwawo
Treść cichych niedomówień rzutem wzwyż rozwiercę.
Za niemą rozpacz tych, co płaczą z tajemną obawą
Rozbiegnę się po mieście oczyma mordercy.

Rozjarzy się mój krzyk na spiekłych goryczą wargach,
Co dyszały ogromem potężnej zawiści.
Będzie to nieskończony rzut Boga na kark
Ziemi, co szarzyzny i nudy porodziła liście.

Będzie to dzień spełnienia. Będzie to dzień zapłaty
Za grozę, co w stłuczonej skrwawiła się piersi.
O godzino płomienna! Twe święte rozedrę szkarłaty
I położę na twarde i wzburzone piersi.

I będę łykał gorycz szaleństwa i bólu
Wśród wieków milczących, wśród pustyń, kamieni,
Aż czarne chmury śmierci mnie w nocy otulą
I wszystko zniknie w ciszy i w proch się zamieni.

BUDOWA

Konały dreszcze słów łamane, niespokojne.
Na piersi padła czarna grozy wstęga.
Kto ze mną pójdzie w dzień, w ulice krwawe, rojne?
Krzyczała matka w łzach. To życia ma przysięga.

Strudzone ręce mam, wyssane z krwi i szpiku.
Na każdym kroku lęk rozdziera sznury gardła.
Ból łamie jęki słów i dusi się jak w krzyku,
Palące szepty krwi noc czarna w proch podarła.

Gorący, krwawy dzień żelazna spala pręga.
Śmierć. Życie. Szał. Jak rzuty błyskawicy.
Rozdziera oko brzask i tańczy znów włóczęga,
I znowu wszystko drga jak usta tajemnicy.

W wibracji ciałek ssie okrutna męki kropla.
Nie mogę stłumić łez i patrzę w twarz bezruchu.
Pukają nerwy w głos i głuchną dzwony słuchu,
Czerwona mózgu krew powoli się rozkrapla.

W ostatniem drgnieniu płacz rozbije mąk skinienia,
Ktoś cicho modli się jak w krzyżu szepce On.
W rozpaczy gore znak, znak jasny wszechistnienia
I gorzki ból i czarnych gwiazd krzyczący spłon.

KOŁOWRÓT

To wszystko jest nieprawdą—i ranek i wieczór
I mgła, co w usta wlewa chłód gorzki, niepokój.
Te noce, wśród okrutnych okrzyków, złorzeczeń,
Szukanie poomacku w coraz głębszym mroku.

Już dawno zapomniałem o gwiazdach i niebie.
W przepaści czarno, czarno. Bolesną jest trwoga.
Już nigdy znowu wrócić nie zdołam do siebie.
W pustyni mieszkam, w której okropna twarz Boga.

Wnet słońce się ukryje za żółtą powłoką,
Ja będę znowu płonął i szukał ucieczki.
I znowu będę krzyczał w rozpaczy głębokiej,
Gdy śmiać się ze mnie będą Twe gwiazdy zdradzieckie.

MODLITWA

Ponad niebem, tańczącem w gwiazd oszalałych rozpuście,
Nad księżycem, co z lękiem chłodne odkrywa oblicze
Burzy się krew moja czarna i w bólu płonie na ruszcie
Dni, co kłują jak szpilki i jak węże syczą.

Kiedy minęła już rozpacz, jak otchłań rozwarła się pustka.
W zamkniętej ciszy ulic nigdzie nie mogłem już uciec.
Wśród obumarłych ludzi, wśród straszliwego smutku
Krzyczeć zacząłem w trudzie, w potwornym trudzie.

Wśród bruków zdyszanych i pokrwawionych Napoleonów,
W hałasie żelaza i słów, których błyski już prysły.
Na zbiegu ulic spotkałem oczy Twe, Chryste, szalone
Podartym jękiem wieków minionych i przyszłych.

O DALI

Szarpie cisza dali, jak pełznąca żmija.
Okiem ogni tysiącznych błyszczy jak stal.
Czerwieni się, płomieniem kusząco owija,
Dysząco liżąc żarem jak krwią zbroczony pal.

Szynami, dzwoniącemi pulsujące pieśni
Wbija się w kleszcze ciasnych, krwawych dni.
Popiołem truje oczy jak gorzkie wizje we śnie,
Boryka się z tęsknotą, jak z krętem żądłem żmij.

Jak deskę łamią tryby sine, blade nerwy.
Modlitwa ostrej dumy ostatni pali most.
Rozdziera płachtę wrażeń i snów obrzydłe ścierwa,
Obnażone serce cichaczem kłując wprost.

Prężnością się kołysze, nabrzmiewa jak ulewa.
Rozkoszą dzikich tarzań skrwawioną łechce noc.
Jak marsyljanka czarna po mieście się rozlewa,
Zbierając krew rękoma w włosisty, gęsty koc.

Rozwija się, rozdłuża sokiem pękniętych przeżyć,
Obłędnym krzykiem bijąc: Ożyj! i drzyj! i wyj!
I w twardej, mroźnej piersi pogłębia się, rozszerza
W potworne pasmo białych, błyszczących, lśniących linij.

PIEŚŃ O MOTOROWYM

1925

I

Ja nie jestem bohaterem,
Mojej piersi nie zdobią ordery.
Noszę zwykły, roboczy garnitur.
Pot rękawem ocieram.

Nazywam się Stefan Góra,
Motorowy Tramwaju Nr. 34:
Twarz moja jak mury,
W których mi żyć i umierać.

Rano, gdy słońce jak pisklę
Z gniazda nieba powoli się rusza,
Biję o bruk buciskami,
Dzień do roboty przymusza.

Hałas w remizie, stukot...
...Nr. 1, ...Nr. 2. ...Nr. 4...
Mkną w elektrycznym pędzie
Tramwaje w ulice otwarte.

II

Turkocą koła we wściekłym trybie,
Szyny błyszczą jak śliska dal —
Za kwadratową stoję szybą,
Wsród dni i nocy równy jak pal.

Ulica Piękna, ulica Długa,
Teraz skręcamy w Szaleńczy Róg.
I znowu będę w dzwonek pukał,
Gdy sztorcem stanie dwoje nóg.

I znowu w górę, znowu w dół,
Czereda ulic starych, nowych,
Wśród wściekłych, znojnych godzin stu
Skaczą podróżnych śpieszne słowa:

Wsiadać! Wysiadać! Przepraszam...
Trust... Giełda... Miłość... Dług...
Ja muszę milczeć, patrzeć wprost,
Przedzierać dzwonkiem żalu stuk.

III

Ślizga się wóz jak łódka
Po fali deszczowych strug.
Wieczór, jesienny wieczór
Smutkiem pokrywa bruk.

Błyski gasnących lamp
Liżą kamieni twarz.
Wiatr unosi szybko
Mgieł rozrzucony płaszcz.

Korba prądowa wiruje,
Szyny się ostrzą jak nóż.
Stęka ulica złamana,
Jak sharowany stróż.

Wpatrzony w kałużę, marzę
O tej godzinie rzadkiej,
Kiedy zabłyśnie wkońcu
Reflektor ostatniej rogatki.

IV

Już późno! Godzina dwunasta!
Płacę! Dwie bułki i wódka.
Wracam ze szynku do domu,
A w mózgu mi warkot kół łka.

Domów milczących czerń,
Ponurych rynień pion,
Po cichu trzeba iść,
Bankierzy teraz śpią.

Miarowy, silny krok,
Policjant tu i tam —
Posępnej ciszy twarz
Z przelękłych patrzy bram.

Gwiazd nieprzerwany kłus
Pali zmęczony mózg.
Ruszać trzeba! Jazda!
Na niebie — Tramwajowy Wóz.

SPIS RZECZY